

# VII MIĘDZYNARODOWY MOTOCYKLOWY RAJD KATYŃSKI

**W tegorocznym rajdzie – którego celem, już po raz siódmy, było Złożenie hołdu Oficerom Wojska Polskiego, Polskim Policjantom, Żołnierzom Korpusu Ochrony Pogranicza, Polskiej Inteligencji – ofiarom straszliwej zbrodni komunistycznej – zbrodni bez sądu i kary (pkt 1 regulaminu rajdu), przez złożenie wieńców i zapalenie zniczy w miejscach ich męczeństwa, kaźni i pochówku; dotarcie do miejsc chwały oręża polskiego; spotkania z Polakami na Wschodzie; nawiązanie przyjaznych stosunków z ludnością i władzami na trasie rajdu; propagowanie prawdy historycznej – wzięło niemal 100 motocykli i 4 furgony szczelnie załadowane podarkami dla dzieci.**

W drogę wyruszyło ponad sto osób obojga płci, reprezentujących pewnie wszystkie zawody – byli wśród nas m.in. dwaj księża i brat zakonny; dwóch pilotów Boeingów i dwóch żołnierzy zawodowych; uczniowie, studenci i emeryci; technicy, inżynierowie, humaniści i lekarze. Zagranicę reprezentowało pięcioro motocyklistów z chicagowskiego Polskiego Klubu Motocyklowego „Sokół” z jego organizatorem i prezesem Magdaleną Huk pseud. „Dzika” na czele, był Piotrek Jurek z Kanady i urzędniczka ambasady kanadyjskiej w Warszawie Diane Godard. Rozpiętość wieku wahała się od 17 do 74 lat. W Komitecie Honorowym rajdu znaleźli się m.in. Ks. Prymas Józef Glemp, b. Prezydent RP Ryszard Kaczorowski, kapelan

Rodzin Katyńskich ks. Zdzisław Peszkowski, Prezes IPN Janusz Kurtyka, Komendant Główny Policji insp. Tadeusz Budzik, Komendant Główny Straży Granicznej gen. Mirosław Kuśmierk.

Uroczyste rozpoczęcie rajdu ustalono na godz. 10.00 w sobotę 25 sierpnia. Motocykliści spoza Warszawy przyjechali już dzień wcześniej przed Świątynią Opatrzności Bożej w Wilanowie, gdzie przed wieczorem odbyła się odprawa, podział na grupy, rozdzielono też odznaki, koszulki, czapki itp. oraz flagi narodowe do przymocowania na motocyklach. Później było ognisko i nocleg w namiotach. Nazajutrz w Świątyni odprawiona została Msza św.



Wspólna warta przed Grobem Nieznanego Żołnierza, fot. R. Gałka

w intencji powodzenia rajdu, którą celebrował ks. Jan Zalewski – proboszcz polskiej parafii w Danii i motocyklista. Ruszyliśmy na plac Marszałka Piłsudskiego pod Grób Nieznanego Żołnierza. Wraz z mieszkańcami stolicy uczestników rajdu żegnali przedstawiciele Rodzin Katyńskich, Ministerstwa Obrony Narodowej, Policji, Straży Granicznej. Uroczystość rozpoczął meldunek Jacka Kawczyńskiego ze Stanów Zjednoczonych przed płk. Januszem Brochwicem-Lewińskim, kawalerem orderu *Virtuti Militari*, weteranem Powstania Warszawskiego. Motocykliści wciągnęli na maszt flagę państwową, a Orkiestra Reprezentacyjna WP odegrała hymn państwowy. Pomysłodawca, główny organizator i komandor rajdu, Wiktor Węgrzyn, podkreślił, że rajd jest wyrazem szacunku i hołdu najwyższym wartościom, sposobem na oddanie czci polskiemu oficerom, którzy zginęli na nieludzkiej ziemi. „My ich kochamy” – mówił. Przesłanie do uczestników rajdu skierował ks. prałat Zdzisław „Jastrzębiec” Peszkowski, kapelan Rodzin Katyńskich. Wspólną modlitwę odmówili i błogosławieństwa uczestnikom rajdu udzielili ks. Józef Jachimczak, kapelan Komendy Stołecznej Policji, ks. kmdr Leon Szot, kanclerz kurii polowej WP, oraz ks. Marek Doszko – motocyklista i kapelan rajdu. Na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza delegacja uczestników złożyła wieńce. O godz. 10.50 ruszyła, żegnana przez wiwatujące tłumy, wspaniała kawalkada motocykli, w większości przystrojonych w łopoczące narodowe proporce. Widok był imponujący. Przed opuszczeniem Warszawy zatrzymaliśmy się jeszcze, by złożyć wieńce przy pomniku bohaterskiego księdza Ignacego Skorupki przed bazyliką katedralną na Pradze.

Do przejścia granicznego w Hrebennem dotarliśmy ok. 17.00. Granicę przekroczyliśmy sprawnie, do motocykli przymocowaliśmy obok flagi polskiej ukraińską. Z towarzyszącym nam konsulem ze Lwowa Marcinem Zieniewiczem i eskortą ukraińskiej drogówki, na pierwszy dłuższy postój stanęliśmy w Żółkwi. Złożyliśmy wieńce przed sarkofagiem hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego, którego zwycięstwo nad pięciokrotnie silniejszą rosyjską armią kniazia Szujskiego i posiłkującego go korpusu szwedzkiego pod Kłuszynem w 1610 r. doprowadziło do zajęcia Moskwy, a jego samego wyniosło do panteonu największych polskich wodzów. Tymczasem na rynku miasteczka, w dużej mierze zastawionym naszymi maszynami, pojawiły się tłumy mieszkańców. Wielu z nich pytało, skąd, dokąd i po co jedziemy, robiło sobie zdjęcia przy motocyklach.

Na nocleg w Brzuchowicach pod Lwowem dojechaliśmy już w ciemnościach. Nasza kolumna wyglądała imponująco – sznur motocykli od przodu świecących reflektorami, z tyłu czerwonymi lampkami świateł pozycyjnych i stopu. Przy świetle latarek rozbiliśmy namioty na terenie Wyższego Seminarium Duchownego. Nazajutrz pracownicy seminarium mówili nam, że słysząc ogromny huk maszyn, myśleli, że to jakieś czołgi jadą... Nasunęła mi się refleksja historyczna – wszak właśnie tu, w brzuchowickim lesie, zatrzymały się we wrześniu 1939 r. roz-



Na rynku w Żółkwi, w jasnych spodniach konsul Marcin Zieniewicz, fot. R. Gałka



Na cmentarzu Łyczakowskim, na grobie Marii Konopnickiej złożono wieniec z napisem na szarfie: NIE RZUCIM ZIEMI SKĄD NASZ RÓD – MARIII KONOPNICKIEJ PRZYRZEKAJĄ POLSCY MOTOCYKLIŚCI, fot. R. Gałka

wzgórz zjechaliśmy do centrum, na uroczystą Mszę św. w katedrze, odprawioną przez kardynała Mariana Jaworskiego, arcybiskupa metropolitę lwowskiego, i „naszych” księży. Złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem Adama Mickiewicza i spotkaliśmy się tam z przedstawicielami polskich organizacji. Zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego połączone było ze złożeniem wieńców na grobach: Marii Konopnickiej, Gabrieli Zapolskiej i oczywiście bohaterskich Orłąt. Przy grobie



Moment złożenia wieńca na cmentarzu Orłąt Lwowskich, fot. Z. Kirszak

paczliwe próby przebicia się do Lwowa resztek wojsk polskich prowadzonych przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego na odsiecz zawsze wiernemu miastu. Przemęczoną, skrwawioną w dotychczasowych bojach polską piechotę powstrzymały właśnie niemieckie czołgi.

W niedzielę 26 sierpnia ruszyliśmy do Lwowa, najpierw na Wzgórza Wuleckie. W miejscu kaźni profesorów lwowskich i ich rodzin dokonanej przez Niemców w lipcu 1941 r., przed upamiętniającym to skromnym pomnikiem z dwujęzyczną (polską i ukraińską) listą ofiar tragedii – złożono wieniec, zapalono znicze, była też modlitwa, śpiewy i pierwsza na trasie rajdu historyczna prelekcja niżej podpisanego. Ze

Konopnickiej naturalnie odśpiewaliśmy *Rotę*, będącą zresztą nieformalnym hymnem rajdu. Druga pieśń ochoczo i dobrze śpiewana przez motocyklistów to *Przybyli ulani...*, pewnie z tej przyczyny, iż już na poprzednich rajdach okrzyknięto nas kawalerią, stąd motocyklistom wypada znać tę ulubioną piosenkę polskiej jazdy; wreszcie, w chwilach mniej oficjalnych, uniwersalne *Sokoły*.

Nazajutrz wyjechaliśmy z Brzuchowic o 7.30. Pogoda zepsuła się, nadsięgnęły ołowiane chmury, spadł deszcz. Na drógórzędnych drogach deszcze są bardzo niebezpieczne, nigdy bowiem nie wiadomo, która kałuża

zakrywa jedynie małą nierówność, a która głęboką wyrwę. Kiedy wjechaliśmy do klasztoru Sióstr Niepokalanek w Jazłowcu, było już zupełnie sucho, ciepło i słonecznie. Siostry przyjęły nas świetnym obiadem. Zwiedziliśmy klasztor i położone niedaleko w parku katakumby z kaplicą, gdzie spoczywa bł. Marcelina Darowska – założycielka zgromadzenia. Z Jazłowca obraliśmy kierunek na Okopy Świętej Trójcy (obecnie już tylko Okopy). Podziwialiśmy bezkresne pustkowie, nieodparcie kojarzące się z historycznymi Dzikimi Polami. W położonych w widłach Zbrucza i Dniestru Okopach, na wzniesieniu, znajdują się ruiny – dwie bramy zbudowanej w 1692 r. z rozkazu króla Jana III Sobieskiego twierdzy. Była ona pomyślana jako obóz warowny przeciwko Turkom, po utracie pobliskich Kamieńca Podolskiego i Chocimia. Dzięki Okopom trzymano w szachu tureckie załogi obu twierdz i stąd przeprowadzano przeciw nim dywersję. Po pokoju karłowickim w 1699 r., mocą którego Podole wróciło do Rzeczypospolitej, Okopy Świętej Trójcy przestały pełnić funkcję obronną i zaczęły podupadać. Zasłynęły jeszcze kilkadziesiąt lat później, kiedy to podczas konfederacji barskiej w 1769 r. bohatersko bronił się tutaj Kazimierz Pułaski. Fakt ten szczególnie zainteresował motocyklistów zza oceanu, wszak tam postać Pułaskiego jest bardziej popularna niż w Polsce. Nostalgiczna była konstatacja, że znaleźliśmy się w skrajnym południowo-wschodnim punkcie II Rzeczypospolitej, na styku byłych granic Polski, Rumunii i Związku Sowieckiego. Biwak urządziliśmy już „po sowieckiej stronie”, za Zbruczem. Kolacja przy ognisku; później śpiewy z akompaniamentem gitar, akordeonu i fletu.

Na wtorek 28 sierpnia zaplanowano mało jazdy (łącznie ok. 40 km), a dużo zwiedzania. Zaczęliśmy od bliskiego Chocimia. Zwiedziliśmy imponującą twierdzę nad Dniestrem i ruszyliśmy do Kamieńca, zatrzymując się po drodze w Żwańcu, według przedwojennej granicy już na sowieckiej Ukrainie. Z pamiętnego z oblężenia w 1653 r. wojsk polskich dowodzonych przez króla Jana Kazimierza przez połączone siły kozacko-tatarskie zamku ostała się w ruinie tylko jedna baszta. W jej sąsiedztwie znajduje się sowiecki schron bojowy wybudowany w okresie międzywojennym, w celu obrony od strony Rumunii i Polski. Z miejsc tych roztacza się



Nasze „Amazonki”, fot. R. Gałka

piękny widok na jar wijącego się w dole Żwańczyka. Kolejny skok i zatrzymujemy się w legendarnym Kamieńcu. Wjeżdżając do miasta, spotykamy się z wielkim zainteresowaniem. Wszechobecne telefony komórkowe z aparatami fotografującą nasz przejazd. Bazą jest podomnikański klasztor, dziś pieczołowicie podnoszony z ruin przez o. Paulinów. Jest nas tak wielu, że połowa musi zadowolić się noclegiem na karimatach rozłożonych na korytarzach. Ale to i tak wygodniej niż w namiotach, nadto luksusu dopełniają normalne łazienki! Przeglądamy i myjemy motocykle. Pieszko ruszamy do rozslawionego przez sienkiewiczowskiego „Hektora kamienieckiego” Michała (a naprawdę Jerzego) Wołodyjowskiego, Starego Zamku, stojącego



Gdzieś na Ukrainie, fot. R. Gałka

na swojej Hondzie Africa Twin, aż dwukrotnie przejeżdżał przez grząską kałużę, wzniczając fontanny wody. Na tej bezludnej drodze, nie wiadomo skąd, wyskoczył nagle zza krzaków pónagi, umorusany pastuszek; w jednej ręce trzymał witkę do zaganiaania gęsi, a w drugiej... komórkę, którą zrobił nam zdjęcie. Żałowałem, że sam nie mogę tego utrwalić – nagroda „National Geographic” byłaby murowana. Do Baru dotarliśmy mocno opóźnie



W Brańkowie Polacy witali nas takim kołaczem, fot. R. Gałka

na skalistym cyplu otoczonym jarem Smotrycza, pidrem.

W śródowny ranek 29 sierpnia, suto nakarmieni przez gospodarzy, ruszamy na nasz szlak – kierunek Bar. Prowadząca nas policja obrała najkrótszą trasę, co w przypadku Ukrainy często jest niefortunne – spory odcinek drogi musieliśmy pokonać po wprost niewyobrażalnych „kocich łbach”. Jazdę utrudniały też gliniaste pobocza. Ciężkie motocykle typu chopper miały trudności, kilka z nich zaliczyło wywrotki – na szczęście niegroźne i kontynuowały podróż. Radość mieli natomiast użytkownicy motocykli enduro, a powszechnie lubiany Robert Gałka „Izi”

nie udało się zwiedzić kościoła i klasztoru oo. Karmelitów, w którym w 1768 r. zawiązano konfederację, zwaną odtąd barską, skierowaną przeciw królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu i popierającą go wojskom rosyjskim, uchodzącą za pierwsze narodowe powstanie. Udaliśmy się za to na miejscowy cmentarz katolicki, gdzie znajduje się zbiorowa mogiła kilkudziesięciu żołnierzy 6. Armii WP, poległych wiosną 1920 r. podczas wyprawy kijowskiej. Byli z nami tutejsi Polacy, dziewczęta z miejscowego Związku Polskiego śpiewały podczas odprawionej na cmentarzu Mszy św. Przy grobie tym złożyliśmy nasz biało-czerwony wieniec,



**VII MIĘDZYNARODOWY  
MOTOCYKLOWY  
RAJD KATYŃSKI  
25.VIII-09.IX.2007**  
[www.rajdkatynski.net](http://www.rajdkatynski.net)

## *Polscy Motocykliści Polskim Dzieciom na Wschodzie*

z napisem na szarfi: W HOŁDZIE POLSKIM ŻOŁNIERZOM – POLSCY MOTOCYKLIŚCI. Taki sam wieniec zawieźliśmy do położonego ponad 50 km na południowy wschód Brahiłowa, także na mogiłę polskich żołnierzy z wojny polsko-bolszewickiej. Na miejscowym cmentarzu już nas oczekiwali brahiłowscy Polacy ze swoim proboszczem, witając chlebem i solą. Spotkania z nimi zawsze są bardzo wzruszające. Otrzymujemy zaproszenie do parafii na poczęstunek, mamy jednak opóźnienie, musimy jechać dalej, do położonego 120 km na północ Berdyczowa – tam też czekają Polacy. Ale jak tu odmówić rodakom, którzy przez cały rok czekają na nas, dla których nasza wizyta to wielkie święto i jednocześnie świadectwo, że w Polsce się o nich pamięta? Nie możemy im tego zrobić – część z nas przyjmuje zaproszenie, reszta jedzie do Berdyczowa, gdzie później mamy się połączyć. Poczęstunek, choć skromny, był wspaniały. Tak dobrej kiełbasy dawno nikt z nas nie miał w ustach. Zostawiamy trochę podarków, nasze serca i samorzutnie nieco „monety” zebranej do puszczonego w obieg kasku, do dyspozycji proboszcza. Po połączeniu obu grup ruszyliśmy na północ, a po objechaniu obwodnicą Żytomierza obraliśmy kierunek wschodni, na Kijów. Tym razem jechaliśmy całkiem znośną autostradą. Równoległe do niej intensywnie buduje się dodatkowe jezdnie. Czyżby przygotowania do Euro 2012? Obecność coraz lepszych marek samochodów świadczyła, że zbliżamy się do stolicy. Dla nas poważnym niebezpieczeństwem okazały się wyprzedzane wywrotki, które podczas jazdy gubiły całkiem sporych rozmiarów kamienie. Na szczęście nikt nie został trafiony. Do Kijowa wjeżdżaliśmy już o zmroku, mogliśmy obejrzeć to piękne miasto jedynie z motocykli. Do położonej na wschodnim krańcu miasta Bykowni przyjechaliśmy o 20.30. Mimo to zebrani na tym największym na Ukrainie cmentarzysku ofiar komunizmu (szacuje się, że spoczywa tu ponad 100 tys. ludzi, w tym ponad 3 tys. Polaków z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej) duchowni i Polacy czekali na nas z rozpoczęciem zaplanowanej na 19.00 Mszy św. Z zapalonymi pochodniami stanęliśmy w dwóch szpalerach przed ołtarzem. Po dniu pełnym wrażeń i przejechaniu ponad 500 km udaliśmy się na spoczy-

nek, w rozstawionych w tym strasznym sosnowym lesie namiotach. Nie ma tu mogił, miejsce mordu upamiętnione jest skromnym krzyżem i pomnikiem wszystkich ofiar stalinizmu. Tam nad ranem składamy wieńce i zapalamy znicze.

Z Bykowni kierujemy się na Charków. Ranek był pochmurny, a w drodze zrobiło się zimno, zaczęło mżyć i w końcu padać. Trzeba było nałożyć przeciwdeszczowe kombinezony. Na szczęście po paru godzinach, jeszcze przed Charkowem, deszcz ustał. Na rogatkach miasta oczekiwał nas wypróbowany przyjaciel rajdu konsul Andrzej Zawistowski, za którym pojechaliśmy do Konsulatu Generalnego. Po ciepłym posiłku i rozmowach z pracownikami konsulatu odjechaliśmy na cmentarz Piatichatki. Spoczywają tu wymordowani przez NKWD w Charkowie polscy oficerowie z obozu w Starobielsku, wśród nich aż ośmiu generałów z najstarszymi: Leonardem Skierskim i Stanisławem Hallerem na czele. Obaj byli generałami dywizji, kawalerami Krzyża Komandorskiego Virtuti Militari przyznanego za wojnę 1920 r. (spośród Polaków tą klasą orderu w II RP było odznaczonych jedynie 12 generałów), ale na wiele lat przed wybuchem wojny przeszli na emeryturę, mimo to nie oszczędzono ich. Uczestniczymy w Mszy św., składamy wieńce, także w kwaterze prawosławnej, zapalamy znicze. Nastaje zmrok i w końcu zapada zupełna ciemność, dobrze, że do miejsca noclegu na terenie kościoła św. Wincentego niedaleko. Wiemy, że łóżek dla wszystkich nie wystarczy, przecież jest nas około setki! Zwyczajowo pokoje z łóżkami kwatermistrz rajdu – Jerzy Dąbrowski – przydziela naszym paniom i starszym mężczyznom, młodzież, także ta po czterdziestce, musi zadowolić się miejscem na korytarzach, niektórzy rozbijają w pobliżu kościoła namioty. Cieszymy się, bo można się wykapać, podładować telefony itp.

Do bliskiej granicy ukraińsko-rosyjskiej dotarliśmy w ciągu pół godziny. W piątek 31 sierpnia dla wielu z nas mija tydzień podróży. Jest pochmurno, ale sucho. W Charkowie dołączyły do nas jako pasażerki dwie ukraińskie studentki (po raz trzeci w rajdzie): Jana Leśna, doskonale mówiąca po polsku studentka psychologii Uniwersytetu w Charkowie (będzie później w Rosji naszą tłumaczką), i Tatiana Inte z Uniwersytetu Ekonomicznego. Obawialiśmy się utrudnień przy przekraczaniu granicy, doświadczenie drugiego rajdu w 2002 r., gdy motocykli było o połowę mniej niż teraz a odprawa trwała 11 godzin, nie budziło entuzjazmu. Tym razem, pewnie dzięki naszym konsulom, wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie i po około trzech godzinach znaleźliśmy się w Rosji. Zaraz też flagi ukraińskie zastąpiliśmy rosyjskimi, musieliśmy też przesunąć zegarki o jeszcze jedną godzinę do przodu. Na północ w kierunku Moskwy ruszyliśmy w luźnych grupach, co znacznie ułatwia jazdę, tankowanie itp. Nocleg miał wypaść tam, gdzie dojedziemy przed zmrokiem, czyli około 18.00 należało zacząć rozglądać się za jakimś miejscem do spania. Znaleźli się też śmiałkowie, którzy od razu zapowiedzieli, że odległość ponad 700 km dzielącą od Moskwy pokonają jednym skokiem. Część postanowiła zahaczyć o nieodległy od głównej trasy Kozielsk i zobaczyć monaster, w którym więziono polskich oficerów. Niektórzy zajrzeli do położonego między Białgorodem a Kurskiem mauzoleum poświęconego sowieckim „tankistom” z bitwy pancernej na łuku kurskim w 1943 r. W konsekwencji jedni nocowali w namiotach i hotelu w okolicy Orła, inni w okolicy Tuły, a bezpośrednio do Moskwy, o godzinie 01.30, dojechało tylko kilka motocykli, samochód z towarzyszącą rajdowi TV Niepokalanów i furgon IPN, który świetnie prowadził Zbyszek Stachurski. Jeszcze przed wieczorem postanowiliśmy, że, pomimo zmęczenia, będziemy jechać od razu do Moskwy, wydawało się nam bowiem, że w mniejszej grupie i nocą przejazd przez to ogromne miasto będzie łatwiejszy. Jakież było nasze zdziwienie, gdy grubo po północy ruch samochodów był taki jak „na Marszałkowskiej w południe”. W końcu dotarliśmy do katedry katolickiej, gdzie w przykatedralnych zabudowaniach mieliśmy noco-

wać. Jednak spodziewano się nas tu dopiero w ciągu dnia i wszystko było zamknięte. Na szczęście usłyszał nas ktoś z pracowników i wpuścił do środka, do jakiejś sali, gdzie rozłożyliśmy się na podłodze.

W sobotę 1 września nasza grupka nie zrywała się bladym świtem, nie było takiej potrzeby, a należało się wreszcie choć trochę wyspać. Poza tym *gros* uczestników rajdu było jeszcze daleko od Moskwy. Po solidnym śniadaniu podanym przez rosyjskie panie i siostry zakonne wyruszyliśmy metrem w kierunku placu Czerwonego. Jakież było nasze zdziwienie, gdy na miejscu okazało się, że na plac wstępu nie ma. Trafiliśmy akurat na obchody 860. rocznicy założenia Moskwy i wieczorem miały się odbyć tam różne uroczystości, koncerty itp. z udziałem rosyjskich notabli – stąd te środki ostrożności. Musieliśmy zadowolić się spacerem wzdłuż murów Kremla i sąsiadującymi uliczkami. Gdy wracaliśmy już na nasze kwatery, spotkaliśmy pod Kremlm grupkę naszych motocyklistów. Opowiadali wrażenia ze swojej podróży, dowiedzieliśmy się, że ostatnie 200 km do Moskwy przejechali w ulewnym deszczu. Przed wieczorem w zabudowaniach katedry byliśmy już w komplecie. Wyszedł do nas sam metropolita moskiewski arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz, ciepło przemawiał, błogosławił i w podarowanej od nas czapeczce z logo rajdu wysłuchał naszego śpiewania.

Rano zostawiliśmy część podarków dla dzieci z polskiej szkoły do rozdysponowania przez księdza proboszcza i ruszyliśmy do Miednoje (cmentarz pomordowanych jeńców z Ostaszkowa). Dotarliśmy tu ok. godz. 11.00, przejechawszy ponad 200 km – czyli w warunkach rosyjskich nie była to żadna odległość. Po rozbiciu namiotów obok Memoriału Miednoje nad rzeką Twercą popędziliśmy zaraz na cmentarz, gdzie właśnie rozpoczynały się główne uroczystości organizowane przez



Polskie motocykle przed cmentarzem w Miednoje, fot. R. Gałka



W uroczystej Mszy św. w Miednoje uczestniczymy z zapalonymi pochodniami, fot. Z. Kirszak



polską policję – wszak większość pochowanych tam ofiar to przedwojenni policjanci. Najpierw udaliśmy się do kwatery pomordowanych Rosjan i tam wzięliśmy udział w prawosławnym nabożeństwie, po czym złożyliśmy wieniec i zapaliliśmy znicze. Następnie była Msza św. w kwaterze polskiej z udziałem przedstawicieli władz Polski i Rosji, Komendy Głównej Policji i Straży Granicznej. Jak zwykle przy takich uroczystościach staliśmy w dwóch szpalach z zapalonymi pochodniami. Po nabożeństwie złożono wieniec i zapalono znicze. Później wróciliśmy na biwak, a ci rajdowcy, którzy wcześniej nie mieli okazji, pojechali do Tweru (w czasach sowieckich Kalinin), do miejsca kaźni jeńców z Ostaszkowa. Nieszczęśnicy ci mordowani byli w piwnicach budynku, w którym obecnie mieści się Instytut Medyczny. Jest tam polsko-rosyjska tablica upamiętniająca tę tragedię. Wieczór upłynął sympatycznie przy ognisku i śpiewach.



Podczas wszystkich spotkań z dziećmi największą radość sprawiały im przejażdżki na motocyklach. Tu dzieci z rosyjskiego sierocińca w Miednoje, fot. Z. Kirszak

Kolejnym etapem podróży były okolice Ostaszkowa nad górną Wołgą, a konkretnie klasztor, w którym byli więzieni Polacy. Najpierw jednak czekała nas wizyta w rosyjskim sierocińcu w Miednoje. Na dziedzińcu sierocińca wyszedł dyrektor, nauczycielki i dzieci. Były serdeczne powitania i śpiewy, my odwzajemniliśmy się *Ulanami*, którzy „przybyli pod okienko”. Później zostawiliśmy podarki

(maskotki, przybory szkolne itp.) i przez ponad godzinę woziliśmy na motocyklach dzieci i nauczycielki. Trudno opisać, jaką radość sprawiliśmy dzieciom. Obiecaliśmy, że jak w poprzednich rajdach, tak i podczas następnych zawsze do nich przyjedziemy. Około 10.00 pojechaliśmy dalej na zachód, do odległego ponad 200 km Ostaszkowa. Po drodze poczułem nagłe uderzenie w kolano, okazało się, jak powiedział mi później jadący za mną „Izi”, że był to ptak, który wyleciał z przydrożnych krzaków. Biedak nie przeżył pewnie tego i potoczył się do rowu. Swoją drogą dobrze, że nie leciał wyżej i nie trafił w kask, bo wtedy nie wiadomo, czy i ja nie znalazłbym się w rowie. Zatrzymaliśmy się w przepięknej okolicy, na polanie wychodzącej z lasu nad brzeg jeziora, i rozbiliśmy namioty. Niezatarte wrażenie zrobiła chyba na wszystkich malownicza okolica, pełna lasów i jezior. Właśnie w tym miejscu, na wyspie jeziora Seliger, znajduje się klasztor, w którym do wiosny 1940 r. przebywali polscy jeńcy. Jeszcze sześć lat temu, gdy dotarłem tu z pierwszym rajdem, była to ogromna i zniszczona budowla, strasząca pustymi oczodołami okiennic. Obecnie, w dużej części wyremontowana, prezentuje się coraz lepiej. Wchodzi się doń po wąskiej grobli i dalej drewnianym mostem, na którego końcu znajduje się brama, a w murze są umieszczone tablice – polska i rosyjska – z krzyżem *Virtuti Militari*, informujące, kto był tu więziony. Luźnymi grupkami zwiedzaliśmy ten za-

bytek, weszliśmy też na wieżę, skąd rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na piękną okolicę. Zaraz jednak wracała myśl o ludziach tu przetrzymywanych i ich tragicznym losie. Po południu nasi rajdowi księża odprawili Maszę św., połowy ołtarz ustawiając na dwóch motocyklach. Podniesienie zamiast dzwonka sygnalizował delikatnie używany klakson. Później było ognisko, a nasz kucharz Grzesio zaserwował wspaniałą potrawę, coś jakby leczo. Było to duże urozmaicenie w stosunku do głównie dotąd podawanych kiełbasy i kaszanki – zresztą też świetnych.

Ostaszków opuściliśmy około 7.00, obierając kierunek południowo-zachodni. Początkowo jechaliśmy przez całkowite odludzia, dopiero gdy wjechaliśmy na drogę Moskwa–Smoleńsk, zaczął się ruch. Do Memoriału Katyń dotarliśmy ok. 14.30, pokonując ponad 500 km. Namioty rozbiliśmy na leśnej polanie, tej samej od pierwszego rajdu, niedaleko za cmentarzem. Dziwnie pofałdowany teren może sugerować, że także w tym miejscu byli grzebani ludzie. Na miejscu czekali zaprzyjaźnieni z nami już od lat smoleńscy motocykliści – czyli „bajkarzy”, z którymi spędziliśmy dwa dni i dwa wieczory przy ognisku. Jak zawsze byli serdeczni, uczynni i bezinteresowni. Jak co roku przy wjeździe na polanę dyskretnie z boku parkował milicyjny radiowóz – ponoć dla naszego bezpieczeństwa.

Środa 5 września była obfita w wydarzenia. Około 11.00 przyjechaliśmy do kościoła katolickiego, zbudowanego w 1894 r. przez Polaków; od lat 30. ubiegłego wieku zamienionego na archiwum. Obok znajduje się odzyskana i odbudowana przez katolików plebania, w niej też funkcjonuje kaplica. Wszystko to głównie dzięki wysiłkom ks. Jacka Kuczmiaka, który przybywszy w 1992 r. do Smoleńska, postanowił tu pozostać i dla około 600 katolików odzyskać świątynię. Ten wspaniały duchowny przez pierwsze siedem lat mieszkał na przykościelnym cmentarzu, w... grobowcu rodziny Komorowskich. Przed plebanią oczekiwały nas polskie dzieci, same maluchy, bo dzieci starsze nie mogły opuścić lekcji (przybyły później na wieczorne uroczystości). Spędziliśmy z nimi godzinę, zostawiliśmy prezenty i ruszyliśmy dalej. Tym razem spotkała nas po raz pierwszy (na szczęście i ostatni) drobna szykana ze strony milicji. Otóż wyjazd z terenu plebanii prowadzi przez bramę wprost na ruchliwą ulicę. Tam stał radiowóz i żeby nie robić, rzekomo w obawie przed zakorkowaniem miasta, wpuszczał na drogę 2 motocykle, a po nich 11 rosyjskich samochodów, później znów 2 motocykle i 11 aut, itd. Tym sposobem nasza kolumna została skutecznie poszatkowana, a wyjazd sprzed kościoła niesamowicie przeciągnął się w czasie. Sporo opóźnieni, ale prawie w komplecie, dojechaliśmy do rosyjskiego sierocińca i jednocześnie ośrodka rehabilitacyjnego dla dzieci niepełnosprawnych. Przywitano nas chlebem i solą, mowy wygłosiła dyrekcja ośrodka, za każdym razem podkreślając



Dojechaliśmy do Katynia, fot. R. Gałka



fot. Z. Kirszak



Polacy i Rosjanie między dolami śmierci w Katyniu,  
fot. R. Gałka

Po kilku wolnych godzinach spędzonych w Smoleńsku wróciliśmy do naszego obozu. O 18.00 rozpoczęły się główne uroczystości na Cmentarzu Wojennym Katyń. Mszę św. odprawiał ks. Jacek Kuczmik i nasi księża. Jak zwykle staliśmy w szpalerach z zapalonymi pochodniami, razem z przyjaciółmi Rosjanami i miejscowymi Polakami. Mirek Ołowski odczytał wiersz Feliksa Konarskiego (Ref-Ren), później rozsypano na katyńskich mogiłach przewiezioną przez niego ziemię z biblijnej góry Tabor. Na złożonym wieńcu widniała szarfa z napisem: W HOŁDZIE OFICEROM POLSKIM OFIAROM LUDOBÓJSTWA KOMUNISTYCZNEGO – POLSCY MOTOCYKLIŚCI. Z polskiego cmentarza przeszliśmy na rosyjski, tu, po modlitwie, złożyliśmy wieniec z napisem: W HOŁDZIE SZLACHETNYM BRACIOM NASZYM – OFIAROM LUDOBÓJSTWA KOMUNISTYCZNEGO – POLSCY MOTOCYKLIŚCI. Przemawiający przedstawiciele władz rosyjskich dziękowali nam za pamięć także i o nich. Jak co roku z każdym pobytym w tym świętym dla Polaków miejscu pewnie wszystkich nas ogarniała nostalgia i chwila zadumy.

Katyń opuściliśmy o 7.00, wstawaliśmy więc jeszcze przed świtem, żeby jak najwcześniej rozpocząć odprawę na granicy rosyjsko-białoruskiej. Po godzinnej jeździe byliśmy na granicy, odprawa przeszła sprawnie i stanęliśmy na Białorusi. Miłą niespodzianką było cofnięcie zegarków o godzinę – wyraźny znak zbliżania się do domu. Po ponad 300 km przejechanych od Katynia stanęliśmy w Kuropatach obok Mińska. I tu, na tym największym cmentarzysku ofiar komunizmu na Białorusi, spoczął nasz wieniec i zapłonęły znicze. Stąd ruszyliśmy do położonego niedaleko Rakowa, przed wojną leżącego już po polskiej stronie, by-

Na największym cmentarzu Białorusi w Kuropatach nie ma mogił, są tylko symboliczne krzyże, fot. J. Kirszak



wdzięczność, jaką żywi do nas za to, że o nich pamiętamy i ich odwiedzamy. Zaproszono nas do środka, gdzie dzieci i młodzież wystąpiły z przedstawieniem wokalnno-tanecznym, później poczęstowano nas herbatą i ciasteczkami i wreszcie nastąpiło to, na co dzieci czekały najbardziej – przejażdżki motocyklami; wcześniej wnieśliśmy kartony z naszymi prezentami. Pożegnania były bardzo serdeczne, musieliśmy solennie obiecać, że za rok znów ich odwiedzimy.

łego nadgranicznego miasteczka. Zatrzymaliśmy się przy miejscowym cmentarzu i tam złożyliśmy kwiaty na grobie zamordowanej w 2005 r. przez nieznaną dotąd sprawców przewodniczącej oddziału Związku Polaków w Rakowie, p. Józefy Warakso. W ocenie miejscowych Polaków był to mord polityczny. Następnie udaliśmy się do

Iwieńca. W tym byłym kresowym miasteczku, byłym garnizonie batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza „Iwieńiec”, dziś mieszka około 8 tys. ludzi, z czego ponad połowę stanowią Polacy. W okolicznych wioskach odsetek ten jest jeszcze wyższy. Wielu z nich zrzeszonych jest w Związku Polaków, działającym przy Domu Polskim prężnie kierowanym przez dyrektor Teresę Sobol. Byliśmy gośćmi właśnie pani Teresy. Przyjazd nasz do Iwieńca był istną sensacją. Do późnego wieczora woziliśmy naszych rodaków, ale nie tylko. Zostawiliśmy im podarki. Byliśmy też na cmentarzu katolickim, gdzie liczba polskich nagrobków jest przytłaczająca. Leżą tu m.in. żołnierze Armii Krajowej, polegli 1 grudnia 1943 r. podczas próby rozbrojenia ich przez sowiecką partyzantkę. Pochowany jest też brat Feliksa Dzierżyńskiego, Kazimierz, emerytowany oficer WP rozstrzelany przez Niemców w 1943 r. za przynależność do AK. Jednak rosyjska inskrypcja na jego nagrobku rozmywa tę prawdę, informując, że zginął z rąk niemieckich faszystów za współpracę z partyzantami, co według sowieckiej nomenklatury należałoby tłumaczyć, iż zginął jako uczestnik komunistycznej partyzantki.

Z Iwieńca wyjechaliśmy nazajutrz o godz. 8.30 i po dwóch godzinach zawitaliśmy do Nowogródka, gdzie zwiedziliśmy popadający w ruinę miejscowy cmentarz i częściowo miasto, później był Słonim – tu zapłonęły znicze na wspólnej mogile żołnierzy polskich z lat 1919–1920 – i wreszcie Wołkowysk. Przyjęcie, jakie zgotowano nam w tamtejszej polskiej szkole, przeszło oczekiwania nas wszystkich. Wspaniała akademii urządzona przez uczniów, wspólne z nimi śpiewanie, wszystko wypadło doskonale. Odwdzięczyliśmy się im tradycyjnymi już przejazdami na motocyklach i hojnie prezentami, było to już bowiem nasze ostatnie spotkanie z dziećmi na Wschodzie, więc należało zostawić wszystko, co dotąd uchowało się na czterech furgonach. A było tego niemało: wspaniałe wydawnictwa, przybory szkolne, piłki, buty, spodnie, słodycze itp. Wszystko to wypełniło aż pod sufit pomieszczenie gospodarcze na zapleczu szkoły. Trudno było się rozstać z przyjaciółmi, ale czas naglił, jeszcze tego dnia musieliśmy opuścić Białoruś, gdyż do godz. 24.00 były ważne nasze wizy tranzytowe. Żegnani serdecznie, obiecując, że jeszcze tu wrócimy, choć pewnie nie z następnym rajdem, odjechaliśmy na przejście graniczne Grodno/Kuźnica.

Żegnaliśmy Białoruś miło zaskoczeni – raz postawą władz, spodziewaliśmy się bowiem gorszego traktowania, wreszcie stanem dróg, i to nie tylko tych głównych, jako że nawet te drugorzędne, zaznaczone na mapie jako białe, w większości miały świetną asfaltową nawierzchnię, i ogólną czystością. Odprawa graniczna przeszła sprawnie i na nocleg udaliśmy się do pobliskiej Sokółki. Nazajutrz, w sobotę 8 września, o godz. 9.30 odbyła się w Sokółce Msza św. częściowo dziękczynna za powodzenie rajdu, celebrowana m.in. przez bpa Leszka-Sławoja Głódzia i naszych księży rajdowców. Księdzu Markowi, kapelanowi rajdu, choć twardy z niego chłop, co z niejednego pieca chleb jadł (m.in. przez szereg lat jako misjonarz w Papui-Nowej Gwinei), głos się załamał...



fol. R. Gatka